



STEPHEN  
KING

*cujo*

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
CUJO

Copyright © Stephen King 1981  
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.  
This edition published by arrangement with Dutton,  
a member of Penguin Group (USA) Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Bożenna Manicka & Tomasz Manicki 2014

Korekta: Dorota Jakubowska

Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros





ewnego razu, nie tak dawno temu, małe miasteczko Castle Rock w Maine nawiedził potwór. Zabił kelnerkę Almę Frechette w 1970; niejaką Pauline Toothaker i uczennicę szkoły średniej Cheryl Moody w 1971; Carol Dunbarger, ładną dziewczynę, w 1974; nauczycielkę Ettę Ringgold jesienią 1975 – i na koniec maturzystkę Mary Kate Hendrasen wczesną zimą tego samego roku.

Nie był wilkołakiem, wampirem, upiorem ani żadnym innym tajemniczym stworem z zakłętego lasu albo ze śnieżnych pustkowi; był zwyczajnym gliniarzem z problemami psychicznymi i seksualnymi i nazywał się Frank Dodd. Pewnemu zacnemu człowiekowi, Johnowi Smithowi, jakimś sposobem udało się ustalić jego nazwisko, ale zanim go ujęto, Frank Dodd – i może dobrze, że tak się stało – sam odebrał sobie życie.

Ten tragiczny finał wywołał, ma się rozumieć, pewien szok, ale miasteczko ogarnęła przede wszystkim radość, radość, że potwór, który nawiedzał sny tylu osób, nie żyje. Wraz z Frankiem Doddem pogrzebano miasteczkowe koszmary.

Jednak nawet w naszym oświeconym stuleciu, kiedy tak wielu

rodziców uświadamia sobie, jak łatwo na całe życie okaleczyć psychikę dziecka, z pewnością znalazł się w Castle Rock jakiś rodzic lub babka, którzy przywoływali swe dzieci czy wnuki do porządku groźbą, że jeśli nie będą posłuszne, jeśli nie będą grzeczne, zabierze je Frank Dodd. I z pewnością zapadała wtedy martwa cisza, a dzieci spoglądały lękliwie w ciemne okna i wyobrażały sobie za nimi Franka Dodda w lśniącej czarnej winylowej pelerynie, Franka Dodda, który dusi... i dusi... i dusi.

„On tam jest – słyszę już szept babki, a wiatr zawodzi w kominie i węższy wokół pokrywki starego garnka na piecu. – On tam jest, i jak nie będziecie grzeczne, to kto wie, czy nie zobaczycie jego twarzy zagładającej przez okno waszej sypialni, kiedy wszyscy w domu, oprócz was, będą już spali; kto wie, czy nie zobaczycie, jak uśmiechnięty, z lizakiem, którym zatrzymywał samochody, żeby przeprowadzić małe dzieci przez jezdnię, w jednej ręce i z brzytwą, którą odebrał sobie życie, w drugiej, wygląda na was w środku nocy ze ściennej szafy... a więc sza, dzieci... sza... sza...”

Ale dla większości mieszkańców miasteczka sprawa była zamknięta, i kropka. Niewątpliwie ten i ów nadal miał koszmarny sen, niewątpliwie zdarzało się i teraz, że to czy inne dziecko nie mogło zmrużyć w nocy oka, a opuszczony dom Dodda (bo jego matka zmarła wkrótce po nim na zawał serca) szybko zyskał sobie reputację nawiedzonego i zaczęto omijać go z dala; były to jednak zjawiska przejściowe – nieuniknione efekty uboczne serii bezsensownych morderstw.

Mijał czas. Upłynęło pięć lat.

Potwora nie było, potwór nie żył. Frank Dodd dawno zgnął w trumnie.

Tylko że potwory nigdy nie umierają. Czy będzie to wilkołak, czy wampir, czy upiór, czy tajemniczy stwór z pustkowi. Potwory

nie umierają.

I potwór nawiedził Castle Rock znowu wiosną 1980 roku.

• • •

W maju tego roku czteroletniego Tada Trentona obudziła pewnej nocy, zaraz po dwunastej, potrzeba udania się do łazienki. Wstał z łóżka i ściągając po drodze spodenki od piżamy, poczłapał zaspą w kierunku białego światła wlewającego się klinem przez uchylone drzwi. Wysiusiał się za wszystkie czasy, spuścił wodę i wrócił do łóżka. Przykrywał się właśnie kocem, kiedy nagle zauważył tego stwora w ściennej szafie.

Warował tuż przy podłodze, ogromne barki sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a jego ślepia przypominały jarzące się bursztynowe dziury – coś jakby pół człowiek, pół wilk. Ślepia poruszyły się, śledząc Tada, który ze stającymi dęba włosami, z nieprzyjemnym uczuciem mrowienia w kroczu, oddychając z poświstem przez ściśnięte gardło, usiadł powoli na łóżku; obłąkane ślepia, które się śmiały, ślepia obiecujące straszną śmierć przy wtórze wrzasków, których nikt nie usłyszy.

Tad Trenton słyszał bulgotliwy warkot stwora; czuł jego zalatujący zgnilizną oddech.

Zakrył rączkami oczy, spazmatycznym haustem wciągnął powietrze w płuca i krzyknął.

Stłumiony okrzyk w sąsiednim pokoju. Ojciec.

Przestraszone: „Co to było?” – z tego samego pokoju. Matka.

Tupot nadbiegających stóp. Kiedy wpadali do pokoju, Tad odważył się zerknąć przez paluszki i zobaczył go tam, w szafie, warczącego, odgrążającego się, że owszem, przyszli, ale na pewno sobie pójdą, a wtedy...

Zapaliło się światło. Vic i Donna Trentonowie podeszli do łóż-

ka i wymienili nad kredowobiałą twarzyczką i wytrzeszczonymi oczami synka zaniepokojone spojrzenia.

– A mówiłam, że trzy hot dogi to za dużo, Vic! – powiedziała... nie, wyrzuciła z siebie matka.

A wtedy tatuś przysiadł na łóżku i otaczając Tada ramieniem, zapytał, co się stało.

Chłopiec odważył się spojrzeć znowu w paszczę swojej szafy.

Potwora nie było. Zamiast jakiejś wygłodniałej bestii, którą przed chwilą widział, zobaczył tylko dwie kupki niedbale rzuconych ciepłych koców z zimowej zmiany, których Donna nie zdążyła jeszcze wynieść na strych. Leżały na krześle, na którym zwykł stawać Tad, kiedy potrzebował czegoś z najwyższej półki szafy. Zamiast kudłatego, trójkątnego łba przekrzywionego na bok w jakimś drapieźnym, taksującym skłonie na wyższej z dwóch kupek ujrzał swojego pluszowego misia. Zamiast przepastnych, złowrogich bursztynowych ślepi patrzyły na Tada przyjazne brązowe szklane paciorki, którymi obserwował świat jego miś.

– Co się stało, Tadder? – spytał znowu tatuś.

– Tam był potwór! – krzyknął Tad. – W mojej szafie! – I wybuchnął płaczem.

Teraz na łóżku usiadła także mamusia; rodzice zaczęli tulić go między sobą i uspokajać, jak umieli. Zapewniali go, że żadnych potworów nie ma; że to był tylko zły sen. Mamusia wyjaśniła, że często cienie potrafią wyglądać jak złe stwory, które czasami ogląda się w telewizji albo w komiksach, a tatuś powiedział, że wszystko jest w porządku, wszystko dobrze, że w ich miłym domku nic nie może wyrządzić mu krzywdy. Tad kiwał głową i przyznawał, że tak właśnie musiało być, chociaż wiedział, że tak nie było.

Ojciec wytłumaczył mu jeszcze, że w ciemności dwie nierówne kupki koców mogły wyglądać jak przygarbione ramiona, pluszowy

miś jak przekrzywiony łeb i że światło padające z łazienki, odbijając się w szklanych oczkach misia, nadawało im wygląd ślepi prawdziwego, żywego zwierzęcia.

– Teraz patrz – zakończył tatuś. – Obserwuj uważnie, Tadder. Tad obserwował.

Ojciec wziął dwie kupki koców i wszedł z nimi do ściennej szafy. Tad słyszał dobiegający stamtąd cichy stukot potracanych wieszaków na ubrania opowiadających w swoim wieszakowym języku o tym, co robi tatuś. To było zabawne i chłopczyk uśmiechnął się. Mamusia zauważyła to i również się uśmiechnęła. Z ulgą.

Tatuś wyszedł z szafy, wziął pluszowego misia i włożył go w objęcia Tada.

– I ostatnia, co wcale nie znaczy, że najmniej ważna sprawa – powiedział, wykonując zamaszysty gest ręką i kłaniając się nisko, co tak spodobało się Tadowi i mamusi, że oboje zachichotali. – Krzesło.

Zamknął mocno drzwi szafy i przystawił do nich krzesło. Wróciwszy do łóżka Tada, nadal się uśmiechał, ale oczy miał poważne.

– W porządku, Tad?

– Tak – odrzekł chłopiec, po czym przewyciężając wstyd, wyrzucił z siebie: – Ale to tam było, tatusiu. Widziałem. Naprawdę.

– Wydawało ci się tylko, że coś widzisz – odparł tatuś i wielką ciepłą dłonią pogłaskał Tada po włosach. – W twojej szafie nie było żadnego potwora. Potworów nie ma, synku. Istnieją tylko w bajkach i w twojej wyobraźni.

Tad przeniósł wzrok z ojca na matkę i z powrotem, szukając potwierdzenia w ich dużych kochanych twarzach.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła mamusia. – A teraz wstań i idź zrobić siusiu, kolego.

– Już robiłem. Właśnie dlatego się obudziłem.

– Dobrze, dobrze – powiedziała, bo rodzice nigdy nie wierzą dzieciom. – W takim razie zrób to dla mnie jeszcze raz, zgoda?

Rad nierad poszedł znów do łazienki.

– No i widzisz? – zauważyła z uśmiechem mama, patrząc, jak wyciska z siebie cztery mizerne kropelki. – Coś tam jednak było.

Tad pokiwał zrezygnowany głową. Wrócił do łóżka. Opatulono go troskliwie i pożegnano całuskami.

Ale kiedy matka z ojcem ruszyli w kierunku drzwi, strach spowił Tada znowu niczym zimna błona pełna mgły. Niczym całun cuchnący nieuniknioną śmiercią. Oj, proszę, pomyślał – ale do głowy nie przychodziło mu nic więcej, tylko to: Oj proszę oj proszę oj proszę...

Ojciec, zupełnie jakby odebrał jego błagalną myśl, odwrócił się w progu i z ręką na wyłączniku światła powtórzył:

– Potworów nie ma, Tad.

– Tak, tatusiu – bąknął chłopiec, bo w tym momencie oczy ojca wydały mu się jakies zatroskane, jakby tata sam nie był do końca przekonany i chciał, żeby ktoś go w tym utwierdził. – Potworów nie ma. – Nie licząc tego w mojej szafie, dodał w myślach.

Światło zgasło.

– Dobranoc, Tad – doleciał go ciepły, pieszczotliwy szept mamy i chłopiec wrzasnął w duchu: Uważaj, mamusiu, one zjadają panie! Na wszystkich filmach łapią panie, wynoszą je gdzieś i zjadają! Oj proszę oj proszę oj proszę...

Ale rodzice wyszli.

Czteroletni Tad Trenton leżał w swoim łóżku sparalizowany strachem. Leżał przykryty kocem po samą brodę, tuląc do piersi pluszowego misia, a ze ściany spoglądał na niego Luke Skywalker; z drugiej ściany uśmiechała się szelmowsko wiewiórka stojąca na



mikserze (JEŚLI ŻYCIE OBDARZA CIĘ CYTRYNAMI, RÓB CYTRONETE! – radziło puciołowate, uśmiechnięte zwierzątko); trzecią ścianę okupowała pstra kompania z *Ulicy Sezamkowej*: Wielki Ptak, Bert, Ernie, Oscar, Grover. Dobre totemy, dobra magia. Tylko to straszne zawodzenie wiatru, który ślizga się po czarnych rynnach na dachu! Tad nie uśnie już tej nocy.

Ale po pewnym czasie paraliż zaczął stopniowo ustępować, a napięte mięśnie rozluźniły się. Tad powoli odpływał w sen...

I naraz nowy dźwięk, bliższy niż zawodzenie nocnego wiatru za oknem, wyrwał go gwałtownie z półsnu i kazał szeroko otworzyć oczy.

Zawiasy ściennej szafy.

Krrriiiiiiii...

Cichutki skrzyp, tak wysoki, że słyszalny chyba tylko dla psów i małych chłopców, którzy nie śpią w nocy. Drzwi szafy otwierały się powoli i nieubłagane; martwa paszcza rozdziawiająca się centymetr po centymetrze, a w niej ciemność.

W tej ciemności zaś czaił się potwór. Warował w tym samym miejscu co wcześniej. Uśmiechał się do Tada, ogromne barki sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a ślepia, ożywiane szyderczą przebiegłością, jarzyły się bursztynem. *No i widzisz, Tad? – wyszeptał. – Mówilem ci, że sobie pójdą. Zawsze w końcu odchodzą. A wtedy ja mogę wrócić. Lubię wracać i lubię ciebie, Tad. Od tej pory będę chyba wracał co noc i za każdym razem podejść trochę bliżej twój łóżka... i jeszcze trochę bliżej... aż któreś nocy usłyszysz warczenie, czyjeś warczenie tuż obok, Tad, i to będę ja, i zanim zdążysz ich zawołać, rzucę się na ciebie, a potem pożrę, i znajdziesz się we mnie.*

Tad wpatrywał się w stwora ze swojej szafy z hipnotyczną, trwożną fascynacją. Było w nim coś... coś mgliście znajomego. Coś,

co jakby znał. I to było właśnie najgorsze: jakby znał, ale nie wiedział skąd. Bo...

*Bo ja jestem szalony, Tad. Jestem tutaj. Byłem tu cały czas. Kiedyś nazywałem się Frank Dodd i zabijałem panie, i może je potem zjadalem. Byłem tu przez cały czas, kręciłem się w okolicy, przykładałem ucho do ziemi. Jestem potworem, Tad, starym potworem, i będę cię wkrótce miał. Będziesz czuł, jak się zbliżam... zbliżam...*

Stwór z szafy przemawiał być może własnym, świszczącym oddechem Tada, a może jego głosem było zawodzenie wiatru za oknem. Zresztą wszystko jedno. Chłopiec słuchał słów stwora sparaliżowany przerażeniem, bliski omdlenia (jednak zupełnie wybity ze snu); patrzył na ten skryty w mroku warczący pysk, który jakby znał. Nie zaśnie już tej nocy – może już nigdy nie zaśnie.

Ale gdzieś między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy Tad znowu odpłynął w sen. Płytki sen, w którym ścigały go niezdarne futrzaste stwory z białymi zębiskami.

Wiatr podtrzymywał długą konwersację z rynnami. Sierp białego wiosennego księżyca piął się po niebie. Gdzieś w oddali, na jakiejś nieruchomej, pogrążonej w mrokach nocy polanie albo na biegnącym między sosnami leśnym dukcie, zaszczekał wściekle pies i znowu zapadła cisza.

A w ściennej szafie Tada Trentona czuwało coś o bursztynowych ślepiach.

• • •

– To ty przełożyłeś z powrotem te koce? – spytała Donna męża następnego ranka. Stała przy kuchence i smażyła bekon. Tad siedział w drugim pokoju przed telewizorem i oglądał *The New Zoo Revue*, zajadając Błyskotki z trzymanej na kolanach miseczki. Pod handlową nazwą Błyskotki kryły się chrupki firmy Sharp, a chrupki

Sharpa Trentonowie dostawali za darmo.

– Hmmm? – mruknął pytająco Vic Trenton, zatopiony w lekturze działu sportowego gazety. Był przeflancowanym nowojorczykiem i jak dotąd z powodzeniem opierał się pokusie kibicowania drużynie Red Sox. Ale fakt, że Metsi rozpoczynają kolejny sezon klęską, sprawiał mu masochistyczną przyjemność.

– Koce. Te z szafy Tada. Znowu tam leżały. Krzesło też tam stało, a drzwi znowu były otwarte. – Donna podeszła do stołu ze skwierczącym jeszcze bekonem na patelni. – To ty położyłeś te koce z powrotem na krześle?

– Nie – mruknął Vic, przewracając stronę gazety. – Śmierdzi tam naftaliną, jak na zjeździe kulek na mole.

– Dziwne. Widocznie Tad sam musiał je przełożyć.

Vic odłożył gazetę i spojrzał na żonę.

– O czym ty mówisz, Donno?

– Pamiętasz jego zły sen wczoraj w nocy...?

– Jakże mógłbym zapomnieć? Myślałem, że dzieciak umiera. Trzęsło nim jak w konwulsjach.

Pokiwała głową.

– Przywidziało mu się, że koce są jakimś... – Wzruszyła ramionami.

– ...straszydłem – dokończył za nią Vic i uśmiechnął się.

– Chyba tak. Dałeś mu pluszowego misia, a koce włożyłeś do szafy, ale kiedy dzisiaj słałam mu łóżko, one znowu leżały na krześle. – Roześmiała się. – Zajrzałam do środka i przez moment wydawało mi się...

– Teraz już wiem, po kim on to ma – mruknął Vic, sięgając znowu po gazetę. Przechylił przy tym głowę i mrugnął do żony wesoło. – Trzy hot dogi, jasny gwint.

Kiedy Vic odjechał już do pracy, Donna spytała Tada, dlaczego

położył koce z powrotem na krzesło, skoro w nocy tak go przestraszyły.

Chłopiec spojrział na nią i jego zazwyczaj pełna życia, wesoła buzia jakby pobladła i przybrała wyraz czujności, jakby się postarzała. Przed nim leżała otwarta książeczka do kolorowania – *Gwiezdne wojny*. Zieloną kredką świecową kolorował właśnie Greedo w kosmicznej karczmie.

– To nie ja – mruknął.

– Ależ, Tad, jeśli to nie ty ani nie tatuś, ani nie ja...

– Potwór to zrobił – wpadł jej w słowo Tad. – Potwór z mojej szafy.

Pochylił się znowu nad rysunkiem.

Donna patrzyła na synka zaniepokojona i trochę przestraszona. Był inteligentnym chłopcem, może o trochę za bardzo wybujałym wyobraźni. To nie był dobry objaw. Wieczorem będzie musiała porozmawiać o tym z Vikiem. Będą musieli o tym poważnie porozmawiać.

– Tad, pamiętasz, co powiedział ojciec? – spytała. – Nie ma czegoś takiego jak potwory.

– W dzień może i nie ma – odparł i uśmiechnął się do niej tak rozbijając i szczerze, że cały jej niepokój przysł. Poczochrała go po włosach i pocałowała w policzek.

Chciała mimo wszystko porozmawiać z Vikiem, ale kiedy Tad był w ogródku zabaw dla dzieci, przyszedł Steve Kemp i zapomniała, a chłopiec tej nocy również zaczął krzyczeć. Krzyczał, że to jest w jego szafie, potwór, potwór!

Drzwi szafy były uchylone, koce leżały na krzesle. Tym razem Vic wyniósł je na strych i włożył do stojącej tam skrzyni.

– Zamknąłem go tam, Tadder – powiedział, całując synka. – Załatwione. Teraz śpij i niech ci się przyśni coś miłego.

Ale Tad przez długi czas nie mógł zmrużyć oka, a kiedy powieki zaczęły mu wreszcie opadać, drzwi ściennej szafy uwolniły się z cichym szyderczym szcękaniem od blokującej je zapadki i śmiertelna paszcza rozwarła się, odsłaniając śmiertelny mrok – śmiertelny mrok, w którym czaiło się coś futrzastego o ostrych zębach i pazurach, coś, co cuchnęło zepsutą krwią i mrocznym przeznaczeniem.

*Cześć, Tad* – wyszeptało to coś swoim wstrętym głosem, a w okno zajrzał księżyc przypominający przecięte oko trupa.



Najstarszą żyjącą osobą w Castle Rock była tej późnej wiosny Evelyn Chalmers, zwana przez starszych mieszkańców miasteczka Ciotką Evvie, a „tym starym krzykliwym babskiem” przez George’a Mearę, który dostarczał jej pocztę – składającą się głównie z katalogów i ofert z „Reader’s Digest” oraz z broszur Krucjaty Wiecznego Chrystusa zawierających modlitwy – i przy okazji wysłuchiwał jej niekończących się monologów. „Jedynie, do czego nadaje się to stare krzykliwe babsko, to przepowiadanie pogody” – zwykł mawiać George, kiedy był już po paru głębszych i siedział w kompanii swoich koleżków w Potulnym Tygrysie. Jak na bar, była to nazwa zupełnie idiotyczna, ale ponieważ Castle Rock mogło się poszczycić tylko tym jednym lokalem, mieszkańcy chyba w końcu do niej przywykli.

Opinia George’a była powszechnie podzielana. Od dwóch lat, czyli od dnia, kiedy Arnold Heebert, który miał sto jeden lat i sklerozę tak zaawansowaną, że rozmowa z nim pod względem intelektualnego wyzwania przypominała gadanie do puszeki po pokarmie dla kotów, dokładnie dwadzieścia pięć minut po sfajdaniu się po raz ostatni w spodnie zleciał z werandy na tyłach domu starców w Castle Acres i skręcił sobie kark, Ciotka Evvie, jako najstarsza

mieszkancka Castle Rock, była właścicielką przechodniej laski „Boston Post”.

Nie była jednak nawet w przybliżeniu tak stetryczną jak Arnie Heebert i nawet w przybliżeniu tak sędziwa, chociaż licząc sobie dziewięćdziesiąt trzy lata, nie należała już do najmłodszych. I pomimo że z upodobaniem wydzierała się do zrezygnowanego (i często skacowanego) George’a Meary, kiedy ten przynosił jej pocztę, nie zgłupiała jeszcze na tyle, żeby stracić swój dom w ten sam sposób, co stary Heebert.

Miała rzeczywiście dar przepowiadania pogody. W miasteczku – wśród starszych ludzi, którzy przykładali wagę do takich rzeczy – krążyła zgodna opinia, że Ciotka Evvie nie myli się nigdy w trzech sprawach: na który tydzień lata wypadnie początek zniw, czy obrodzą (względnie nie obrodzą) borówki i jaka będzie pogoda.

Pewnego dnia na początku czerwca tego roku wyszła z domu, pałac herberta tareytona i wspierając się ciężko na swojej lasce od „Boston Post” (która przejdzie na Vina Marchanta, kiedy to wrzaskliwe stare babsko wykorkuje – mówił sobie George Meara – i krzyżyk ci na drogę, Evvie), podreptała do skrzynki pocztowej ustawionej na końcu podjazdu. Powitała gromkim głosem Meare – własna głuchota najwyraźniej wzbudzała w niej przekonanie, że ze współczucia wszyscy inni również ogłuchli – a potem wrzasnęła, że będą mieli najgorętsze lato od trzydziestu lat. Gorący początek i gorący koniec, darła się Evvie co sił w płucach w sennej przedpołudniowej ciszy. I gorący środek.

– Naprawdę? – burknął George.

– Co?

– Pytałem, czy naprawdę! – To też miała do siebie Ciotka Evvie: prowokowała rozmówcę, żeby wrzeszczał jak ona. Można było sobie zedrzyć struny głosowe.

– Pocałuję świnie w ryj i jeszcze się będę uśmiechać, jak nic! – krzyknęła. Popiół z jej papierosa posypał się George’owi Mearze na rękaw bluzy od munduru, który dopiero co odebrał z pralni chemicznej i dziś rano po raz pierwszy włożył; strzepnął go z rezygnacją. Ciotka Evvie nachyliła się do okna jego samochodu, żeby wrzeszczeć mu w same ucho. Jej oddech zalatywał kiszonymi ogórkami. – Wszystkie polne myszy powyłaziły z nor! Tommy Neadeau widział przy Moosuntic Pond jelenia ścierającego rogi, tam gdzie pokazał się pierwszy dzięcioł! Jak stopniał śnieg, to była pod nim trawa! Zielona trawa, Meara!

– Naprawdę, Evvie? – mruknął George, bo trzeba było coś odpowiedzieć. Zaczynała go boleć głowa.

– Co?

– NAPRAWDĘ, CIOTKO EVVIE?! – ryknął George Meara. Ślina trysnęła mu z ust.

– A tak, tak! – odwrzasnęła ukontentowana Ciotka Evvie. – A wczoraj w nocy widziałam, jak błysnęło na zmianę pogody! Zły znak, Meara! Zły znak, kiedy wcześniej robi się upał! Tego lata ludzie będą padać z gorąca! Słońce będzie złe!

– Muszę już jechać, Ciotko Evvie! – huknął George. – Mam specjalną przesyłkę dla Stringera Beaulieu!

Evvie Chalmers odrzuciła w tył głowę i zarechotała w wiosenne niebo. Rechotała tak, że o mało się nie zadławiła, a na przód jej podomki posypały się strzępki papierosowego popiołu. Wypłuła niedopałek z ust. Upadł na drogę i dymił obok jednego z jej staromodnych trzewików – trzewików czarnych jak smoła i ciasnych jak gorset; trzewików na wieki.

– Masz specjalną przesyłkę dla Frenchy’ego Beaulieu? Toć on nie przesyłabizowałby nazwiska na własnym nagrobku!

– Muszę już jechać, Ciotko Evvie! – krzyknął pośpiesznie Geo-

rge i wrzucił bieg.

– Frenchy Beaulieu to największy jełop, jakiego Pan Bóg stworzył! – darła się Ciotka Evvie, ale teraz darła się już do tumanu kurzu, jaki pozostał po George’u Mearze; udało mu się zwiać.

Stała jeszcze z minutę przy swojej skrzynce pocztowej, odprowadzając Mearę wzrokiem. Nie było do niej żadnej korespondencji osobistej; ostatnio rzadko taka przychodziła. Większość z jej znajomych, którzy potrafili pisać, już nie żyła. Podejrzewała, że wkrótce do nich dołączy. Miała złe przeczucie w związku z nadchodzącym latem, przeczucie napawające lękiem. Paplała o myszach opuszczających wcześniej swoje norki, o błyskawicach na wiosennym niebie, nie wspomniała jednak ani słówkiem o gorączce, którą wyczuwała tuż za horyzontem, przyczajoną tam niczym chude, lecz potężne zwierzę o wyleniającej sierści i czerwonych, gorejących ślepiach; nie powiedziała o swych rozpalonych, bezcienistych, spragnionych snach; nie powiedziała o porankach, podczas których do oczu bez żadnego powodu napływają łzy – łzy, które zamiast przynosić ulgę, pieką jak pot. W wietrze, który nie nadlatywał, węszyła obłąd.

– George’u Meara, ty dupku żołądny – mruknęła, kładąc akcent na ostatnie dwa słowa.

Poczłapała z powrotem do domu, wspierając się na swej lasce od „Boston Post”, którą wręczono jej na specjalnej uroczystości w ratuszu tylko za to, że dokonała bezsensownego wyczynu pomyślnego zestarzenia się. Nie dziwota, pomyślała, że tę cholerną gazetę diabli wzięli.

Zatrzymała się na ganku i spojrzała w niebo, które wciąż miało wiosenną, pastelową barwę. Ale ona wyczuwała, że to nadciąga: coś gorącego, coś plugawego.





Przed rokiem, kiedy stary jaguar Vica Trentona nabawił się deenerwującego klekotania gdzieś we wnętrzu tylnego lewego koła, właśnie George Meara poradził Vicowi, żeby odstawił wóz do znajdującego się na przedmieściach Castle Rock warsztatu Joego Cambera.

– Facet ma dosyć nietypowe podejście do klienta – powiedział Vicowi stojącemu przy swojej skrzynce na listy. – Określa z góry, ile będzie kosztować robota, załatwia ją, a potem liczy sobie za nią tyle, ile chciał na początku. Ciekawy sposób na robienie interesu, nie? – I z tymi słowami odjechał, pozostawiając Vica w niepewności, czy mówił poważnie, czy też powiedział właśnie jakiś zawołowany jankeski dowcip.

Vic zadzwonił jednak do Cambera i pewnego dnia, jeszcze w czerwcu (o wiele chłodniejszym od tego, który miał przyjść za rok), wybrali się tam wraz z Donną i Tadem. Było naprawdę daleko; Vic musiał się dwa razy zatrzymać, żeby spytać o drogę, i od tamtego czasu nazywał te najdalsze peryferia miasteczka Wschodnim Zadupiem.

Kiedy wjeżdżał na podwórko Cambera, tylne koło klekotało głośniej niż kiedykolwiek. Tad, który miał wtedy trzy latka, siedział na kolanach u Donny i śmiał się głośno; jazda tatusiowym „bezdachowcem” zawsze wprawiała go w dobry humor, a i Donna była w wyśmienitym nastroju.

Na podwórku stał ośmio- czy może dziewięcioletni chłopiec i uderzał starą piłkę baseballową jeszcze starszym kijem baseballowym. Piłka szybowała w powietrzu i odbijała się o ścianę stodoły, w której zapewne, przemknęło przez myśl Vicowi, mieścił się warsztat Cambera.

– Cześć – powiedział chłopiec. – To pan nazywa się Trenton?

– Tak, ja – potwierdził Vic.

– Zawołam tatę – rzucił chłopiec i wszedł do stodoły.

Trójka Trentonów wysiadła z samochodu. Vic zaszedł jaguara od tyłu i przykucnął przy felernym kole. Czuł się trochę zbity z tropu. Może mimo wszystko należało oddać wóz do naprawy w Portlandzie? Ten warsztat nie prezentował się obiecująco; Camber nie miał nawet wywieszzonego szyldu.

Medytacje Vica przerwała Donna, najpierw wołając go nerwowo po imieniu, a potem krzycząc: „O Boże, Vic!”.

Podniósł się szybko i ujrzał ogromnego psa wyłaniającego się ze stodoły. Przez moment miał absurdalne wątpliwości, czy to rzeczywiście pies, czy też może jakiś rzadki i brzydki rodzaj kucyka. Jednak kiedy zwierzę wyszło powoli z cienia zalegającego w wejściu do stodoły, zobaczył jego smutne oczy i rozpoznał bernardyna.

Donna odruchowo porwała Tada na ręce i cofnęła się, opierając o maskę jaguara, ale chłopiec zaczął się wiercić niecierpliwie w jej objęciach, domagając się postawienia z powrotem na ziemi.

– Chcę zobaczyć pieska, mamusiu... chcę zobaczyć pieska!

Donna rzuciła nerwowe spojrzenie Vicowi, również mocno zaniepokojonemu. I wtedy wrócił chłopiec. Podchodząc do Vica, minął psa i poczochnął go w przelocie po łbie. Pies zawachlował ospale imponującym ogonem i Tad zdwoił swe wysiłki, by wy dostać się z ramion matki.

– Może go pani puścić – powiedział chłopiec. – Cujo lubi dzieci. Nic mu nie zrobi. – I zwracając się do Vica, oznajmił: – Tata już idzie. Umyje tylko ręce.

– W porządku – odparł Vic. – Cholernie wielkie psisko, chłopcze. Na pewno nie gryzie?

– Na pewno – zapewnił go chłopiec, ale kiedy Tad, nieprawdopodobnie malutki, podreptał w stronę psa, Vic przyłapał się na tym, że przysuwa się instynktownie do żony. Cujo stał z przekrzy-

wionym łbem, a wielki pióropusz jego ogona kołysał się powoli tam i z powrotem.

– Vic... – zaczęła Donna.

– Wszystko w porządku – mruknął Vic, dodając w duchu: „mam nadzieję”. Pies wyglądał na wystarczająco wielkiego, by połknąć Tada za jednym zamachem.

Mały zatrzymał się na chwilę, najwyraźniej straciwszy rezon. On i pies przyglądali się sobie.

– Piesku...? – bąknął niepewnie Tad.

– Cujo – podpowiedział chłopiec Cambera, podchodząc do nich. – Wabi się Cujo.

– Cujo – powtórzył Tad i pies, zbliżywszy się, zaczął lizać mu buzię zamaszystymi, dobrodusznymi, mokrymi pociągnięciami wielkiego jęzora. Tad chichotał i próbował się bronić. Odwrócił się do matki i ojca, śmiejąc się w taki sam sposób jak wtedy, gdy któreś z nich go łaskotało. Postąpił kroczek w ich kierunku, lecz nóżki mu się zaplątały i upadł. Pies ruszył, stanął nad Tadem i Vic, który jedną ręką obejmował Donnę w talii, wyczuł, jak żona wstrzymuje spazmatycznie oddech. Zrobił krok w przód... i nagle zamarł.

Zęby Cujo zatrzasnęły się na plecach koszulki Tada z wizerunkiem Spider-Mana z przodu. Pies uniósł chłopczyka w powietrze – Tad wyglądał przez chwilę jak kociak w pyszczku mamy kotki – i postawił go na ziemi.

Tad podbiegł do rodziców.

– Lubię tego pieska! Mamusiu! Tatusiu! Lubię tego pieska!

Chłopiec Cambera stał z rękami w kieszeniach dzinsów i obserwował to wszystko z umiarkowanym rozbawieniem.

– Tak, miły pies – wykrztusił Vic. Serce wciąż jeszcze waliło mu jak młotem. Przez chwilę miał wrażenie, że pies chce Tadowi odgryźć głowę jak szmacianej lalce. – To bernardyn, Tad – dorzucił.

– Bernardyn! – zawołał Tad i popędził z powrotem do Cujo, który siedział teraz w wejściu do stodoły i przypominał małą górę.  
– Cujo! Cuuuuujo!

Donna znowu zmartwiała.

– Och, Vic, czy nie sądzisz...

Ale Tad był już przy Cujo. Najpierw objął go wylewnie za szyję, a potem spojrzał mu z bliska w pysk. Kiedy Cujo siedział z wywiezionym różowym jęzorem, bijąc rytmicznie ogonem o ziemię, Tad, nawet stając na paluszkach, ledwie mógł mu zajrzeć w oczy.

– Sądzę, że się zaprzyjaźnili – powiedział Vic.

Tad włożył swoją małą rączkę w paszczę Cujo i zaglądał w nią, jak najmniejszy dentysta świata. Na ten widok Vicowi serce znowu podeszło do gardła, ale nim zdążył zareagować, malec biegł już ku nim.

– Piesek ma zęby – poinformował ojca.

– Tak – przyznał Vic. – Mnóstwo zębów.

Odwrócił się do chłopca, żeby spytać, skąd wzięło się imię Cujo, ale w tym momencie ze stodoły wyszedł właściciel warsztatu. Wycierał dłonie w kawałek szmaty, żeby nie usmarować klienta przy powitaniu.

Vic z miłym zaskoczeniem stwierdził, że Camber zna się na rzeczy. Przejechali się razem do domu u stóp wzgórza i z powrotem, wsłuchując się uważnie w klekotanie.

– Łożysko siada – stwierdził Camber. – Ma pan szczęście, że nie zatarło się jeszcze na dobre.

– Potrafi pan to naprawić? – spytał Vic.

– Nie ma sprawy. Jak pan ma ze dwie godzinki, mogę to zrobić na poczekaniu.

– Tak byliby chyba najlepiej – przystał Vic. Spojrzał na Tada bawiącego się z psem. Chłopczyk rzucał najdalej, jak potrafił (a

nie było to daleko), piłkę baseballową syna Cambera, a bernardyn biegł po nią posłusznie i odnosił w pysku małemu. Piłka była niemożliwie ośliniona. – Pański pies zabawia mojego synka – powiedział.

– Cujło lubi dzieciaki – przyznał Camber. – Zechciałby pan wprowadzić wóz do stodoły, panie Trenton?

Pan doktor zaraz cię zbada, pomyślał Vic rozbawiony i wjechał jaguarem do środka. Okazało się, że naprawa zajęła tylko półtorej godziny, a należność pobrana przez Cambera była tak niewygórowana, że aż zaskakująca.

Tad biegał tego chłodnego, pochmurnego popołudnia, bez ustanku wołając psa po imieniu: „Cujło... Cuuujooo... tutaj, Cujło...”. Przed samym odjazdem chłopiec Cambera (na imię miał Brett) podsadził synka Trentonów na Cujło i bernardyn z Tadem na grzbiecie statecznym krokiem przemierzył tam i z powrotem wysypane żwirem podwórko. Brett asekurował malca, idąc obok i obejmując go ramieniem w pasie. Kiedy Cujło mijał Vica, ten przechwycił jego spojrzenie... i gotów był przysiąc, że pies się uśmiecha.

• • •

Trzy dni po wrzaskliwej konwersacji George’a Meary z Ciotką Evvie mała dziewczynka w wieku Tada Trentona wstała za swego miejsca przy śniadaniowym stole – który stał w kąciku śniadaniowym schludnego domku w Iowa City w stanie Iowa – i oznajmiła:

– Oj, mamoo, niedobrze mi. Chyba będę wymiotowała.

Matka obejrzała się, nawet niespecjalnie zaskoczona. Przed dwoma dniami starszego brata Marcy odesłano ze szkoły do domu z ostrymi objawami grypy żołądkowej. Brock już wydobrzył, ale tych koszmarnych dwudziestu czterech godzin, podczas których jego organizm zrzucał z obu stron swój balast, nikt mu nie odbie-

rze.

– Jesteś pewna, słoneczko? – spytała córkę.

– Oj, tak... – jęknęła głośno Marcy i uciskając obiema rączkami brzuszek, wypadła na korytarz. Matka ruszyła za nią. Kiedy wychodziła z kuchni, córeczka zniknęła właśnie w drzwiach łazienki. O Boże, znowu to samo, pomyślała. Będzie cud, jeśli i ja tego nie złapię.

Słyszając pierwsze odgłosy wymiotowania, skręciła za małą do łazienki, myśląc już o tym, co trzeba zrobić potem: podać klarowne płyny, położyć córkę do łóżka, postawić nocnik, dać parę książeczek; Brock po powrocie ze szkoły wniesie jej do pokoju przenośny telewizor i...

Spojrzała i stanęła jak rażona gromem. Wszystkie myśli uleciały jej z głowy.

Umywalkę, do której wymiotowała czteroletnia dziewczynka, wypełniała krew; krwią spryskany był biały porcelanowy brzeg umywalki; krew skapywała na kafelki posadzki.

– Oj, mamusiu, niedobrze mi...

Mała zaczęła się odwracać, odwracała się, odwracała, a buzię wokół ust umazaną miała we krwi, która ściekała jej po brodzie i rozlewała się coraz większą plamą na przodzie niebieskiej sukienki, krew, Boże jedyny, Jezusie, Maryjo, Józefie Święty, tyle krwi...

– Mamusiu...

I dziewczynka znowu zwymiotowała. Gęsta krwawa masa tryskająca z jej ust zbryzgała wszystko wokół niczym złowróbną deszcz. Matka porwała Marcy na ręce, wybiegła z nią z łazienki, dopadła telefonu w kuchni i wykręciła numer pogotowia.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).